

Geny zamiast mózgu

8 stycznia 2021

Badania genetyczne są kolejnym przykładem na poparcie tezy, że w państwie PiS można być złodziejem i oszustem, a nawet lichwiarzem. I dopóki płaci się podatkowy haracz skarbowce, to takim nieuczciwym firmom włos z głowy nie spadnie.

Autorytet twierdzi

Na pewno każdy natknął się na reklamę mówiącą, że wystarczy napluć, wysłać i zapłacić, a dostanie się instrukcję obsługi siebie. Liczącą 150 stron. Na których zapisane będzie, co nasze DNA każe nam jeść i do uprawiania jakich sportów zmusza.

Przecież „Wystarczy odrobina śliny. Próbkę pobierzesz w domu z pomocą naszego Zestawu Startowego. Odeślij ją do nas – za przesyłkę nic nie zapłacisz! Oto pojemnik na ślinę, który otrzymasz wraz z dokładną instrukcją i opakowaniem zwrotnym. Dowiesz się jak powinna wyglądać twoja dieta. Jakich produktów żywnościowych powinieneś unikać? Jakie mikroskładniki powinny znaleźć się w Twojej diecie? Sprawdźmy: tolerancję laktozy, witaminy np. A, C, D3, z gr. B, ryzyko celiakii, tolerancja tłuszczów, „dobry” cholesterol HDL. Dobierzemy ci taki sport, który zredukuje masę ciała, określimy twój optymalny wydatek energetyczny, sprawdzimy twoją reakcję na wysiłek, sprawdzimy występowanie genu otyłości. Napiszemy na jakie badania okresowe powinieneś zwrócić szczególną uwagę? Jak zatroszczyć się o wygląd swojej skóry? Określimy podatność na przebarwienia skóry, predyspozycje do cellulitu i cukrzycy typu II. Twój Indywidualny Raport Genetyczny to jedynie 1175 zł”.

Te badania są i tak stosunkowo tanie. Są firmy, które za to winszują sobie 3500 zł. W każdej – jak mantra – przewija się hasło, że taki test robi się raz w życiu, bo przecież nasze DNA się nie zmienia.

Niezrozumiałe, czyli mądre

Zdaniem lekarzy i profesorów genetyki to proste wyciąganie od laików kasy. Oparte o najnowsze odkrycia wynikająca z grzebania w ludzkim genomie, ale z nauką nie mające niemal nic wspólnego. Za to świetnie przygotowane marketingowo. Stąd od dobrych paru lat, pojawiają się w sieci paranaukowe terminy takie jak „nutrigenetyka” czyli nauka zajmująca się różnicami genetycznymi u poszczególnych osób. Opowiada ponoć o tym jak „zmienność biologiczna wyrażająca się w różnicach genomów” wpływa na to, co należy jeść. Jest i „nutrigenomika”, która „identyfikuje mechanizmy, które decydują o tym, jak żywność i żywienie wpływają na stan zdrowia pacjenta”. Wiedza z tego zakresu zaowocowała zaś „genodieta” czyli sposobem na szczupłą sylwetkę.

Fachowcy od badania genów i medycy, kazali się przyjrzeć, przez kogo te metody są uznawane, na genialne. Mieli rację. Najwięcej dobrego na ten temat, mieli do powiedzenia celebryci, którzy ponoć stosują się do wytycznych swojego DNA. Ale ponieważ za mówienie o tym biorą pieniądze, to ich wiarygodność jest żadna.

Są też naukowcy z tytułami. Oni również są za. Z jednym małym ale... Wszystkie wywiady z promującymi raporty DNA doktorami i profesorami są pełne zastrzeżeń i ogólników, ale ich wymowa jest dla testów pozytywna. Bierze się to stąd, że wypowiadający się w mediach genetycy, pracują dla dla firm żyjących z opisywania fiolek ze śliną.

Jest jeszcze jedna kategoria piejących z zachwytu nad skutecznością wcielania w życie genetycznych zaleceń. To internetowi komentatorzy każdego materiału prasowego, w którym genodieta jest wspomniana. Trolle, które za każdy wpis dostają od firm góra 30 zł. O obiektywnej opinii w internecie trzeba zatem zapomnieć.

Gluten i inne trucizny

Tym, co szczerze ubawiło ludzi znających się na rzeczy, były określane na poziomie DNA nietolerancje na gluten, czy laktozę, niedobory witamin i poziom cholesterolu. Badania na ich obecność w organizmie można za grosze zrobić w każdym laboratorium. A jak komuś się nie chce, to sam po zjedzeniu pszennej pieczywa będzie wiedział czy ma celiakię czy nie, z powodu bólu brzucha. Zaś gdy po wypiciu mleka wywali mu wątpia z powodu zachodzących w nich procesów fermentacyjnych mleka, będzie wiedział, że ma kupować produkty bezlaktozowe.

Co zaś do genetycznych predyspozycji do tycia, to wystarczy, żeby każdy popatrzył na matkę, ojca, ich rodzeństwo, nawet i dziadków. I jak są grubasami, to znak, że samemu trzeba zjadać mniej, a ruszać się więcej niż otyli przodkowie.

Do rozpuku rozśmieszyło fachowców wyszukiwanie w DNA genu otyłości. Pewnie dlatego, że genetyka wykryła ich do tej pory już kilkanaście. A działanie tych genów wespół z innymi oraz z czynnikami wynikającymi ze stylu życia, chorób i setek zmiennych, w żaden sposób nie prowadzi normalnego naukowca do wydawania w związku z tym wiążących sądów.

Wszyscy przypominają sytuację sprzed paru lat, gdy piersi obcięła sobie Angelina Jolie. Bo w jej DNA znaleziono, jak pisała prasa, jeden z dwu genów, które wtedy uznawano za powodujące raka piersi – BRCA 1 i BRCA 2. Po latach i tysiącach badań, medycyna już tak nie uważa. Owszem te geny bywają niebezpieczne, ale dopiero w korelacji z dziesiątkami innych i czynników zewnętrznych. I dlatego mnóstwo kobiet z oboma BRCA dożywa sędziwego wieku nie hodując raka, a tysiące bez tego genu, raka piersi ma.

Jak twierdzą genetycy, im więcej nauka wie o DNA, tym mniej w wielu sprawach rozumie. Po prostu jest to zbyt świeża gałąź nauki, żeby wszystko było jasne i na dodatek poparte dziesiątkami lat obserwacji i eksperymentów. Dlatego wszystko,

poza określeniem wad genetycznych u płodów, identyfikacji kryminalistycznej i biotechnik związanych z GMO, to wrózenie z fusów.

Najlepszym tego przykładem może być kobieta, która do 30-tych je wszystko, rusza się umiarkowanie i wygląda jak wieszak. Potem zachodzi w ciążę, po której tyje „nawet od powietrza”. Czy zmieniło jej się DNA? Nie. Zagrały hormony, które zaczęły funkcjonować zupełnie inaczej niż wcześniej. Dokładnie tak samo ma się rzecz ze szczupłymi niewiastami, które w okolicach 50 roku życia zaczynają tyć. Im DNA też się nie zmieniło. Ale endokrynologia, jak najbardziej.

Nie wspominając już tym, że predyspozycje genetyczne będziemy mieli rewelacyjne, ale jedno głupie powikłanie po wirusach grypy spowoduje, że szlag zacznie nam trafiać serce, czy jakiś inny organ. Wrózenie z fusów genetycznych, w żaden sposób przed tym nie ochroni.

A poza tym, co można zrobić, gdy z raportu wynika, że ma się gen taki, a chromosom taki, zaś „osoby z tym genotypem charakteryzują się najprawdopodobniej niższym poziomem empatii dyspozycyjnej niż osoby z innym. Statystycznie posiadają mniejszą skłonność do zachowań pro społecznych”. Statystycznie! A przecież miało być tylko o konkretnym przypadku. W związku z czym, za ciężkie pieniądze, dostaje się to samo, co za wizytę u wróżki.

Gen wie więcej

Jeśli ktoś napluje, wyśle swoje dane i zapłaci, to tajemnicę swojego DNA powierza jakiejś firmie. Ta zaś może z tą wiedzą zrobić co jej się podoba. Sprzedać firmie ubezpieczeniowej, która widząc potencjalnego raka w wieku 42 lat zażąda od takiego aplikującego do niej niegdysiejszego dawcy śliny, stawki kosmicznej. To tylko jeden z przykładów. Ale wraz z rozwojem genetyki, zastosowań danych osobowych o DNA może być o wiele więcej.

W Polsce nikt tego nie kontroluje. Nie ma żadnego prawa, które badania laboratoryjne nad DNA w jakikolwiek sposób by porządkowały. Nie ma też oczywiście żadnych wymagań co do sprzętu, czy kwalifikacji ich personelu. Dlatego laboratorium DNA może być wyposażone tylko w kosz na śmieci, do którego wyrzuca się fiolki i panią Wiesię po marketingu i zarządzaniu, która na zasadzie kopiuj-wklej, produkuje stu stronicowy raport o czyimś genomie.

Jesteśmy jednym z ostatnich krajów w Europie, który genetyki nie uregulował prawnie. Ministerstwo Zdrowia nie ma pojęcia, czy firm zajmujących się DNA jest 20, czy parę tysięcy. Wiadomo natomiast na zasadzie porównawczej, że każdego roku w Polsce robi się ok. miliona testów DNA. Większość z tego w firmach prywatnych.

Dla rządzących ten feler prawny to żadna tajemnica. Ponad rok temu NIK pisała przecież, że „Podmioty prywatne mogą oferować dowolne testy genetyczne, w dowolnym zakresie i dotyczące dowolnie wybranych chorób genetycznych, tylko na zasadzie zgłoszenia działalności gospodarczej, bez konieczności posiadania własnego laboratorium, uzyskania opinii ekspertów genetyki medycznej, posiadania państwowego certyfikatu czy też poddawania się kontroli”.

Ludzie nie są tego świadomi i sądzą, że państwowy nadzór nad placówką wyglądającą na medyczną, jest. Nic z tych rzeczy. Władzy to, że setki tysięcy ludzi jest rokrocznie robionych w konia, nie rusza. Przecież mamy wolny rynek. Ten zaś dla PiS oznacza tylko jedno – miliony firm, które mają płacić VAT, PIT i CIT. Żeby rząd mógł rozdać kolejne pieniądze, za które suweren zobaczy w DNA, czy ma zjeść schabowego, czy pierogi.

Autorstwo: Tomasz Borowiecki

Źródło: Trybuna.info